

Eichmann. Totalitaryzm na ławie oskarżonych [TPCT 523]

Pytanie o Eichmanna jest ostatecznie także pytaniem o nowoczesność: o to, co kryje się w jej wnętrzu, gdy wyzbędzie się ona zahamowań, które przez wieki budowała cywilizacja wraz ze swoimi toposami i odniesieniami.

Idealnym poddanym totalitarnego panowania nie jest ani przekonany nazista, ani przekonany komunista, lecz człowiek, dla którego rozróżnienie między faktem a fikcją (to znaczy rzeczywistością doświadczenia) oraz między prawdą a fałszem (to znaczy normami myślenia) przestało istnieć.

Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*

Był kwiecień 1961 roku, gdy w jerozolimskiej Beit Ha'am za kuloodporną szybą zasiadł człowiek, którego widok wprawił obserwatorów w konsternację głębszą niż jakikolwiek poprzedzający go spodziewany wstrząs. Adolf Eichmann – główny architekt logistyki Zagłady, człowiek odpowiedzialny za sprawne funkcjonowanie maszyny śmierci, pochłaniającej miliony – okazał się kimś całkowicie przeciętnym. Ot, zwyczajnym urzędnikiem. Człowiekiem, który z właściwą sobie starannością referenta pilnował, by rozkłady jazdy pociągów do Auschwitz-Birkenau funkcjonowały bezbłędnie i były

wykonywane z należytą punktualnością. To właśnie ta przeciętność ostatecznie stała się najbardziej dojmującym oskarżeniem, jakie proces jerozolimski wniósł przeciwko XX wiekowi. Co sprawiło, że całe te logistyczne przedsięwzięcie, dalekie przecież od bycia jedynie objawem niemieckiej pedanterii i dokładności, mogło być skutecznie realizowane bez cienia wątpliwości wszystkich w nią zaangażowanych? Czym jest totalitaryzm w swojej *praxis*?

Z pewnością należy pamiętać, że cały proces miał wymiar podwójny. Formalnie sądzono Eichmanna. W istocie, na ławie oskarżonych zasiadł totalitaryzm w pewnym sensie jako polityczna kategoria ze swoim zrealizowanym przesłaniem (sama Arendt zauważyła, że „akt oskarżenia oparty był bowiem na tym, co przecierpieli Żydzi, nie zaś na tym, co popełnił Eichmann”). W pewnej mierze jako system, projekt cywilizacyjny, owoc pewnej wizji nowoczesności, która dojrzewała w trzewiach europejskiej kultury. Obraz dymu nad Birkenau czy mróz syberyjskich łagrów zdają się czasem być przedstawiane jako historyczne anomalie, niefortunne, i – co prawda – przerażające, ale jednak wypadki w drodze postępu. Problem w tym, że są jego możliwą – i, jak się okazało w pełni realizowaną – konsekwencją. Dlatego pytanie o Eichmanna jest ostatecznie także pytaniem o nowoczesność: o to, co kryje się w jej wnętrzu, gdy wyzbędzie się ona zahamowań, które przez wieki budowała cywilizacja wraz ze swoimi toposami i odniesieniami.

Eric Voegelin, diagnozując duchowe korzenie XX-wiecznych totalitaryzmów, wskazywał na *immanentyzację eschatonu* – ów moment, w którym zbawienie zostało sprowadzone z nieba na ziemię i oddane w ręce inżynierów historii. Jeżeli sens dziejów leży w samozbawczej sprawczości człowieka lub nieuchronności materialnych procesów, to historia przestaje być domeną Opatrzności, a staje się

tworzywem dla politycznych architektów nowego ładu. Komunizm i nazizm – jakkolwiek różne w treści swych utopii – dzieliły ze sobą tę samą głęboką strukturę: były projektami absolutnej przemiany rzeczywistości wedle recept wytworzonych przez hybris rozumu, który ogłosił się najwyższą instancją. I właśnie dlatego były możliwe, bowiem zbudowały świat, w którym Eichmann mógł funkcjonować bez wyrzutów sumienia. System rozłożył jego moralną odpowiedzialność na tyle ogniw łańcucha, że nie pozostało jej nic konkretnego – nic, czego nie dałoby się rozcieńczyć w aktach, procedurach i rozkazach.

Wgłębiając się bowiem w fenomen Eichmanna, nie sposób nie przywołać Sokratejskiego przekonania, że zło jest skutkiem niewiedzy, braku właściwego namysłu, nieumiejętności odróżnienia dobra od zła. Niemiecki zbrodniarz-urzędnik w pewnym stopniu uczynił z nierozważania zasadę. Arendt zanotowała ze zdumieniem, że oskarżony stale posługiwał się frazesami, gotowymi formułami, administracyjnym żargonem – jakby język służył mu nie do opisywania rzeczywistości, lecz do jej zasłaniania, kto wie, może ukazania pewnej mechaniki, jako realności? Dlatego Eichmann mógł mówić o sobie jako o człowieku obowiązku, człowieku, który wypełniał rozkazy, ba! mógł czynić to bez hipokryzji, bo naprawdę tak swój los rozumiał: jako dobrze spełnioną służbę. A przecież rozpoznawanie stanu rzeczy, dobra od zła, sprawiedliwości od winy, w końcu *limesu* posłuszeństwa – przenika na wskroś całą tradycję zachodniej myśli politycznej. Cyceron wiedział, że prawo niesprawiedliwe nie jest prawem, Tomasz z Akwinu precyzował, że posłuszeństwo wobec władzy kończy się tam, gdzie władza nakazuje działanie sprzeczne z prawem naturalnym i Bożym, czy bohater naszego poprzedniego numeru – Izydor z Sewilii, który jasno zakreślał granice posłuszeństwa. A jednak Eichmann –

wykształcony Europejczyk, wychowany w kręgu kultury, która te prawdy zna na pamięć – okazał się niezdolny do urzeczywistnienia tego porządku.

Proces jerozolimski ujawnił jeszcze coś innego, coś, co wykracza poza filozoficzną diagnozę Arendt i domaga się osobnej uwagi. Oto na ławie oskarżonych zasiadł człowiek, co prawda niepozorny, ale znany z imienia i nazwiska, z podpisów na dokumentach, odruchów i mimiki – tymczasem wśród publiczności nie było widać tych wszystkich, którym totalitarne radykalne zło odebrało tożsamość, imię, twarz i ostatecznie też życie. Inżynieria obu systemów – nazistowskiego i sowieckiego – zmierzała ku temu samemu celowi: całkowitej anihilacji. Dobrze to ujęła Arendt: „totalitaryzm nie zmierza do despotycznego panowania nad ludźmi, ale do stworzenia takiego systemu, w którym ludzie będą zbędni”. Wagony bydłące jadące na wschód i transporty do obozów zagłady, ponury las katyński i korytarze Pawiaka, programowe niszczenie inteligencji i eksterminacja całych narodów – wszystko to wpisywało się w logikę odczłowieczenia i unicestwienia. Wraz z tą konstatacją pojawia się pytanie o pamięć i jej zobowiązania. Czy dobrze odrobiliśmy zadaną nam lekcję? Czy zbiorowa pamięć, którą z trudem i wysiłkiem rekonstruujemy z rozsianych fragmentów, rzeczywiście oddaje sprawiedliwość tym, którzy zapłacili najwyższą cenę? Polska, państwo, które doświadczyło konfrontacji z obydwooma totalitaryzmami w ich pełnej, bezwzględnej postaci, niesie w sobie to doświadczenie jako centralne dziedzictwo XX wieku. Tu, w sercu Europy Środkowej, zbiegły się najciemniejsze projekty nowoczesności, czyniąc z tej ziemi – jak pisał Timothy Snyder – *bloodlands*, skrwawione ziemie, na których rozgrywało się epicentrum zła politycznego. Proces jerozolimski oczywiście był w pewnym sensie sądem nad jednym człowiekiem, ale także jednocześnie próbą pociągnięcia do odpowiedzialności systemu, który ów człowiek reprezentował i który go

ukształtował. Był też aktem przywracania twarzy ofiarom: próbą wyrwania ich ze statystyki i oddania im powagi indywidualnego losu. Każde imię odczytane w jerozolimskiej sali sądowej stawało gestem odwracającym totalitarną logikę.

Warto zauważyć, że pojawia się pewne niebezpieczeństwo, które przejawia się w tym, że coraz częściej XX wiek oglądany jest przez pryzmat narracji odległych od środkowoeuropejskiego doświadczenia. Auschwitz i Gułag bywają zestawiane niedbale lub hierarchizowane według klucza politycznej wygody. Czy jesteśmy w stanie utrzymać ostrość spojrzenia, które narzucił nam jerozolimski proces? Czy pamiętamy, że banalność zła nie jest tezą uspokajającą, lecz oskarżeniem ciągłym – skierowanym nie tylko ku przeszłości, lecz ku każdej epoce, która wyrzeka się namysłu nad własnym działaniem? W tym numerze chcemy zatem zadać pytania o Eichmanna i o to, co jego proces odsłonił przed światem. Czym był totalitaryzm jako projekt cywilizacyjny i jakie są jego filozoficzne korzenie? Jak odczytywać dziedzictwo Arendt po kilkudziesięciu latach sporów, które jej myśl wywołała? I wreszcie, jak upamiętnić ofiary? To pytania, które powinny stale być w centrum.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[523]: „Eichmann. Totalitaryzm na ławie oskarżonych”**